

Alfabet rodziców

Alfabet rodziców. Legenda do mapy dziecięcych śladów.

Pani Ewa przyniosła do klasy stare elementarze.

Niektóre były pożółkłe.

Jeden miał rogi zjedzone przez czas albo przez bardzo uparte dziecko.

W jednym ktoś dorysował wąsy krowie.

W drugim litera „A” była tak wielka, jakby chciała wejść pierwsza do całego życia.

Dzieci śmiały się z obrazków.

— Ale dziwne ubrania.

— Ten chłopiec wygląda jak mój dziadek na zdjęciu.

— Proszę pani, dlaczego tu jest „Ala ma kota”? Przecież kot może mieć Alę.

Pani Ewa uśmiechnęła się.

— Dzisiaj nie będziemy uczyć się czytać elementarza. Dzisiaj sprawdzimy, jakiego alfabetu człowiek uczy się w domu, zanim jeszcze pozna litery.

Na tablicy napisała:

ALFABET RODZICÓW

Potem pod spodem:

Nie mam jeszcze własnego języka. Uczę się siebie z tego, jak ty mówisz do mnie, o mnie i przy mnie.

W klasie zrobiło się cicho.

Nie od razu poważnie.

Najpierw tak, jakby dzieci nie wiedziały, czy to ma być lekcja, czy coś, co może wejść zbyt blisko.

Pani Ewa mówiła dalej:

— Dziecko przychodzi na świat bez własnego słownika. Nie umie nazwać złości, lęku, ciała, wstydu, pragnienia, granicy, miłości, winy, tęsknoty, braku. Uczy się liter od dorosłych. Nie tylko słów. Uczy się tonu, ciszy, spojrzenia, pukania albo niepukania, przeprosin albo braku przeprosin. Uczy się, czy wolno płakać. Czy wolno pytać. Czy wolno chcieć. Czy wolno mówić: nie.

Maks podniósł rękę.

— Czyli jak rodzice krzyczą, to dziecko uczy się krzyku?

— Czasem tak — powiedziała pani. — A czasem uczy się ciszy, żeby nie było jeszcze więcej krzyku.

— To skąd wiadomo?

— Trzeba słuchać historii dziecka.

Na stolikach leżały białe kartki.

Pani Ewa powiedziała:

— Spróbujemy przejść przez alfabet. Po kolei. Nie jak słownik. Jak dom. Każda litera może mieć obraz, zdanie, zapach, głos, ciszę. Nie musicie pisać wszystkiego. Ale możecie zobaczyć, że zanim człowiek mówi „ja taki jestem”, często długo wcześniej uczył się liter, którymi potem siebie czyta.

Nina zapytała:

— A jak litera jest dobra?

— To też ją zapisujemy — powiedziała pani. — Nie chodzi o oskarżenie rodziców. W domu uczymy się też ciepła, odwagi, humoru, troski, czekania, przepraszania, wracania. Ale trzeba rozpoznać cały alfabet, nie tylko ładne litery.

Na tablicy pojawiła się pierwsza litera.

A

A jak alarm.

Nie taki z telefonu.

Nie taki przeciwpożarowy.

Tylko alarm w głosie mamy, gdy wołała:

— Uważaj!

Jeszcze zanim dziecko zdążyło dotknąć kubka.

Jeszcze zanim weszło na drabinkę.

Jeszcze zanim powiedziało, że chce spróbować samo.

Mila napisała:

A jak alarm, który mówił mi, że świat jest szybszy od mojego kroku.

Pani Ewa dodała:

— Jeśli dziecko długo słyszy alarm, może w dorosłości nawet w spokojnym pokoju czekać, że coś zaraz spadnie.

Potem dopisała pod literą:

A może być też jak akceptacja.

Bo czasem rodzic mówi:

— Widzę cię.

I dziecko uczy się, że nie musi najpierw zasłużyć, żeby być przyjęte.

A

Dzieci popatrzyły na tablicę.

— Proszę pani, a co z „ą”? — zapytał Bartek. — Przecież prawie nic się tak nie zaczyna.

— Właśnie — powiedziała pani Ewa. — Niektóre litery nie mają łatwego początku. A jednak są w środku wielu słów.

Napisała:

Ą jak w słowie „są”.

Są.

Czyli ktoś jest.

Są rodzice.

Są drzwi.

Są ręce.

Są oczy, które patrzą.

Albo właśnie ich nie ma.

Kacper napisał:

Ą jest w słowie „wróć”, ale ja długo nie wiedziałem, kiedy.

Pani Ewa nie komentowała od razu.

Potem powiedziała:

— Czasem najważniejsze litery nie stoją na początku. Siedzą w środku słowa i trzymają jego ciężar.

B

B jak brak.

Brak nie zawsze był pustym pokojem.

Czasem był mamą przy komputerze.

Tatą w telefonie.

Ojcem w sobotę, który nie przyjechał.

Matką, która wróciła, ale jeszcze nie umiała wrócić do miejsca, w którym zostawiła dziecko.

Brak miał różne kształty.

Brak przy stole.

Brak przy zasypianiu.

Brak przy pytaniu.

Brak przy porażce.

Brak przy sukcesie.

Brak przy ciele.

Brak przy lęku.

Pani Ewa napisała:

Dziecko uczy się braku tak samo jak obecności — przez powtarzanie.

A potem dopisała:

B może być też jak brzeg.

Bo dobry dorosły daje brzeg.

Mówi:

— Tu jestem.

— Tu kończy się moja sprawa, a zaczyna twoja.

— Tu nie musisz dźwigać.

— Tu możesz płakać i świat się nie rozpadnie.

C

C jak cisza.

Cisza bywała odpoczynkiem.

Ale bywała też frontem.

W domu Neli cisza po kłótni była głośniejsza niż krzyk.

Łyżka odkładana na talerz mówiła więcej niż zdania.

Drzwi zamykane za mocno mówiły:

nie pytaj.

Telewizor mówił za wszystkich.

Dziecko uczyło się wtedy czytać twarz, nie książkę.

Nasłuchiwać kroków, nie muzyki.

Zgadywać, czy dziś można poprosić o podpis, czy lepiej schować zeszyt.

Pani Ewa zapisała:

Cisza, której nikt nie wyjaśnia, staje się językiem lęku.

A potem:

C może być też jak czułość.

Ale czułość prawdziwa pyta:

— Czy mogę cię przytulić?

— Czy chcesz, żebym usiadł obok?

— Czy to zdrobienie nadal jest twoje?

Czułość bez pytania może zmniejszyć człowieka.

Czułość z szacunkiem może go ogrzać.

Ć

Ć jak ćwiczenie grzeczności.

Nie tej dobrej.

Nie tej, która uczy zauważyć drugiego człowieka.

Tylko tej, która kazała dziecku nie przeszkadzać dorosłym własnym istnieniem.

— Uśmiechnij się.

— Podziękuj ładnie.

— Nie pokazuj, że jesteś niezadowolona.

— Nie rób scen.

— Przepróż, żeby było już dobrze.

— Bądź mądrzejszy.

Dziecko ćwiczyło minę.

Ton.

Zgadzanie się.

Połykanie złości.

Potem w dorosłości mówiło:

— Nie wiem, czego chcę.

Bo przez lata ćwiczyło, czego nie wypada chcieć.

Pani Ewa napisała:

Nie każ mi ćwiczyć grzeczności tak długo, aż zapomnę własnego głosu.

D

D jak drzwi.

Drzwi do pokoju Piotra.

Drzwi, do których mama nie pukała, bo mówiła:

— Jestem twoją matką.

Drzwi, które dziecko zamykało nie po to, żeby odrzucić rodzica, ale żeby ocalić kawałek siebie.

Drzwi wejściowe, przy których Kacper stał po wyjeździe mamy.

Drzwi, przez które tata wychodził do pracy bez pożegnania.

Drzwi, za którymi rodzice kłócili się „nie przy dzieciach”, ale dziecko i tak słyszało wszystko przez ścianę.

Pani Ewa zapisała:

Drzwi uczą dziecko, czy jego granica istnieje.

Potem dodała:

D może być też jak dom.

Ale dom nie jest tylko adresem.

Dom jest miejscem, w którym dziecko nie musi odpracowywać tego, że mieszka.

E

E jak ekran.

Światło, które zajmuje dziecko, ale go nie trzyma.

Bajka, która świeciła wtedy, gdy dorosły nie miał już siły siedzieć obok.

Telefon, który miał zastąpić rozmowę.

Tablet, który stawał się opiekunem, uspokajaczem, nagrodą, karą, ciszą, nianią.

Maks napisał:

Ekran mnie zajmuje, ale mnie nie trzyma.

Pani Ewa przepisała to zdanie na tablicę.

— Ekran nie jest potworem — powiedziała. — Ale gdy zaczyna udawać obecność, dziecko może być bardzo zajęte i bardzo samotne jednocześnie.

Potem dodała:

E może być też jak elementarz.

Bo czasem dorosły siada obok dziecka i świat zaczyna się od wspólnej litery.

Ę

Dzieci znowu popatrzyły.

— Z „ę” też prawie nic nie ma — powiedziała Tosia.

Pani Ewa napisała:

Ę jak w słowie „się”.

Bo dziecko często słyszało:

— Nie da się.

— Nie robi się tak.

— Tak się nie mówi.

— Tak się nie zachowuje.

— Nie płacze się o takie rzeczy.

— Nie dyskutuje się z dorosłymi.

— Nie złości się na matkę.

„Się” było dziwnym słowem.

Nie miało twarzy.

Nie wiadomo, kto zabraniał.

Nie wiadomo, kto ustalał.

A jednak dziecko uczyło się świata, w którym „się” było silniejsze niż „ja”.

Pani zapisała:

Uważaj na „się”, bo czasem ukrywa dorosłego, który nie chce wziąć odpowiedzialności za własne zdanie.

F

F jak front.

Nie wojenny na mapie.

Domowy.

Między mamą a tatą.

Między kuchnią a pokojem.

Między ciszą a krzykiem.

Między „powiedz mamie” a „powiedz tacie”.

Dziecko na froncie uczyło się chodzić po domu jak po polu minowym.

Wiedziało, kiedy zrobić herbatę.

Kiedy zniknąć.

Kiedy rozśmieszyć.

Kiedy zabrać młodsze rodzeństwo do pokoju.

Kiedy nie oddychać za głośno.

Pani Ewa napisała:

Dziecko nie powinno mieszkać na froncie dorosłej ciszy.

A potem:

F może być też jak furtka.

Dorosły czasem może otworzyć furtkę i powiedzieć:

— To nie twoja wojna.

— Nie musisz nas godzić.

— My jesteśmy dorośli. Ty jesteś dzieckiem.

G

G jak granica.

Granica nie była murem.

Nie była karą.

Nie była przemocą.

Była miejscem, o które dziecko mogło się oprzeć.

Bartek długo nie miał granicy.

Dorośli ustępowali mu dla świętego spokoju.

Dostawał tabletki, jogurt, klocki, późną bajkę, wszystko, co miało zatrzymać krzyk.

A potem jego krzyk robił się większy od niego.

Pani Ewa napisała:

Dziecko bez granicy nie jest wolne. Jest zostawione z własnym nadmiarem.

Potem dodała:

Granica mówi: jestem dorosły i wytrzymam twoje niezadowolenie.

To było jedno z najważniejszych zdań w alfabecie.

H

H jak hałas.

Hałas w domu nie zawsze był krzykiem.

Czasem był ciągłym mówieniem, żeby nie zapadła cisza.

Radiem włączonym od rana.

Telewizorem w kuchni.

Matką, która opowiadała dziecku wszystko, bo nie miała innego dorosłego.

Ojcem, który żartował za dużo, żeby nie było widać smutku.

Hałas przykrywał lęk.

Przykrywał brak.

Przykrywał pytanie, którego nikt nie chciał usłyszeć.

Pani Ewa zapisała:

Hałas bywa zasłoną na sprawy, które proszą o spokojne zdanie.

A potem:

H może być też jak humor.

Bo humor może ratować oddech.

Jeśli nie służy do ukrywania prawdy.

I

I jak imię.

Piotr, do którego mama mówiła „Piotruś”, choć miał szesnaście lat.

Mira, której ojciec mówił „Miszka”, a ona musiała sprawdzić, czy to przezwisko jest jeszcze czułością, czy już czymś, czego mama nie pozwala jej lubić.

Dziecko uczy się siebie także przez imię.

Przez to, czy ktoś mówi do niego tak, jakby widział jego teraz.

Czy jakby trzymał jego dawną wersję w dłoni i nie chciał wypuścić.

Pani Ewa napisała:

Nie widzisz mnie, jeśli widzisz tylko dziecko, którym byłem.

Potem dopisała:

Imię może być domem. Ale może być też za małym ubraniem.

J

J jak „jakoś”.

— Jakoś sobie poradzisz.

— Jakoś to będzie.

— Jakoś przeżyjesz.

— Jakoś musimy dać radę.

„Jakoś” było słowem dorosłych, gdy nie mieli już siły albo odwagi powiedzieć dokładniej.

Dziecko uczyło się wtedy nie prosić o mapę.

Bo mapa była „jakoś”.

Nie wiedziało, kiedy mama wróci, ale „jakoś”.

Nie wiedziało, czy ojciec przyjdzie trzeźwy, ale „jakoś”.

Nie wiedziało, czy dom się rozpadnie, ale „jakoś”.

Pani Ewa zapisała:

Dziecko nie powinno dorastać w samym „jakoś”. Potrzebuje choć kawałka konkretności.

Potem dodała:

J może być też jak jestem.

Jedno z najprostszych zdań.

— Jestem.

Nie idealnie.

Nie zawsze mądrze.

Ale jestem.

K

K jak kara.

Kara, która używała pracy.

Kara, która używała książki.

Kara, która używała ciszy.

Kara, która używała zawstydzenia.

Kara, która mówiła:

— Teraz pocierpisz za to, co zrobiłeś.

Bruno napisał:

Nie karz mnie książką, jeśli chcesz, żebym kiedyś szukał w niej świata.

A pod spodem:

Nie każ mi odpracowywać tego, że tu mieszkam.

Pani Ewa przypomniała:

— Kara często chce odpłaty. Konsekwencja chce naprawy.

Napisała:

K może być jak konsekwencja.

Jeśli rozlałem sok, wycieram sok.

Jeśli zraniłem człowieka, wracam do człowieka.

Jeśli coś zniszczyłem, uczestniczę w naprawie.

Nie muszę myć schodów za złość, która nie dotyczyła schodów.

L

L jak lojalność.

Dziecko po rozstaniu rodziców często uczyło się lojalności jak chodzenia po cienkim lodzie.

Nie cieszyć się za bardzo u taty, żeby mama nie poczuła się zdradzona.

Nie mówić mamie, że u taty było dobrze.

Nie mówić tacie, że tęskniło się za mamą.

Nie lubić nowej partnerki ojca za szybko.

Nie być smutnym przy matce, która „wszystko poświęciła”.

Mira napisała:

Nie muszę wybierać między twoim bólem a moim prawem do ojca.

Pani Ewa zapisała:

Lojalność dziecka nie powinna polegać na zdradzaniu połowy własnego serca.

Potem dodała:

L może być też jak lekkość.

Bo dziecko powinno mieć choć trochę miejsc, w których nie waży dorosłych spraw.

Ł

Ł jak Łzy.

Łzy, których nie wolno było mieć.

— Nie płacz.

— Nie przesadzaj.

— Nic się nie stało.

— Taki duży chłopak.

— Taka duża dziewczynka.

— Przestań, bo nie ma o co.

Łzy wtedy cofały się do gardła.

Do brzucha.

Do skóry.

Do nocy.

Do bólu głowy.

Do złości.

Do dorosłości, w której ktoś już nie umiał płakać, tylko milczał albo wybuchał.

Pani Ewa napisała:

Łzy nie są awarią dziecka. Są językiem, zanim dziecko znajdzie słowa.

Potem:

Ł może być jak łagodność.

Nie taka, która wszystko pozwala.

Taka, która nie zawstydzą przeżycia.

M

M jak mama.

Największa litera dla wielu dzieci.

Mama jako ciało.

Mama jako głos.

Mama jako zapach.

Mama jako ręce.

Mama jako pierwsze lustro.

Ale też mama jako brak.

Mama jako alarm.

Mama jako poświęcenie.

Mama jako rana.

Mama jako ktoś, kto wrócił z walizką i musiał dopiero nauczyć się wracać naprawdę.

Kacper napisał:

Nie mów mi tylko, że wyjechałaś za chlebem. Moje ciało pamięta, że zostałem bez mamy.

Tomek napisał:

Nie chcę być sensem twojego poświęcenia. Chcę być twoim dzieckiem.

Pani Ewa długo patrzyła na literę M.

Potem napisała:

Mama nie musi być całym światem, żeby być prawdziwą mamą.

N

N jak nieobecność.

Nieobecność była jedną z najstarszych liter.

Dziecko znało ją, zanim umiało ją powiedzieć.

Nieobecność przy drzwiach.

Nieobecność przy kolacji.

Nieobecność przy sukcesie.

Nieobecność przy porażce.

Nieobecność przy pytaniu.

Nieobecność w oczach dorosłego, który siedział obok, ale był gdzie indziej.

Janek napisał:

Nie zostawiaj mi swojej nieobecności do pilnowania.

Pani Ewa dopisała:

N może być też jak nazwanie.

Bo gdy dorosły nazwie nieobecność, dziecko nie musi już udawać, że niczego nie brakowało.

Ń

— A „ń”? — zapytał Maks. — To już w ogóle.

Pani Ewa napisała:

Ń jak w słowie „koń”.

Dzieci się roześmiały.

— Koń?

— Tak — powiedziała pani. — Bo czasem dziecko długo niesie coś jak koń. Za dużo. Za ciężko. Bez słów.

Potem dopisała:

Ń jak w słowie „dłoń”.

Dłoń, która prowadzi.

Dłoń, która popycha.

Dłoń, która poprawia włosy przy innych.

Dłoń, która nie pyta.

Dłoń, która wraca po własnym błędzie i mówi:

— Przepraszam.

Pani Ewa powiedziała:

— Niektóre litery są ukryte w środku słów. Tak jak niektóre sprawy są ukryte w środku dziecka.

O

O jak obowiązek.

Obowiązek dobry mówił:

— Należysz do domu. Twoje ręce też są częścią troski.

Obowiązek zatruty mówił:

— Odpracuj to, że tu mieszkasz.

Obowiązek dobry uczył udziału.

Zatruty uczył długu.

Olek napisał:

Jeśli zrobiłem bałagan, pomóż mi go naprawić. Ale nie dawaj mi domu do odpracowania jak wyroku.

Pani Ewa dodała:

O jak obecność.

Bo cały alfabet bez obecności stawał się tylko instrukcją.

A dziecko nie potrzebuje najpierw instrukcji.

Potrzebuje kogoś, kto usiądzie obok.

Ó

Pani Ewa napisała wielkie Ó.

— To trudna litera — powiedziała. — Trochę jak litera, która brzmi jak „u”, ale wygląda inaczej.

Mira powiedziała:

— Czyli udaje?

— Nie udaje — odpowiedziała pani. — Ma swoją historię.

Na tablicy pojawiło się:

Ó jak różnica między tym, co brzmi podobnie, a tym, co ma inną historię.

Dzieci patrzyły.

Pani wyjaśniła:

— Czasem dwa domy brzmią podobnie: „kochamy dziecko”, „dbamy o dziecko”, „robimy to dla dziecka”. Ale historia dziecka w każdym z tych zdań może być inna. Tak jak „ó” i „u” brzmią podobnie, ale nie są tą samą literą.

Kuba dopisał:

Nie każcie mi udawać, że dwa światy są jednym tylko dlatego, że oba nazywacie domem.

Pani Ewa zostawiła to zdanie.

P

P jak pragnienie.

Dziecko przy półce w sklepie nie prosiło tylko o lawetę, lalkę, klocki, dinozaura.

Czasem mówiło:

— Zobacz, że coś we mnie chce.

A dorosły odpowiadał:

— Nie mamy pieniędzy.

— Masz już w domu.

— Nie wymyślaj.

— Ile można?

Pragnienie dziecka robiło się winne.

Julek napisał:

Nie musisz spełnić mojego pragnienia. Ale nie pozwól, żeby pieniądze odpowiedziały za ciebie.

Pani Ewa dopisała:

P jak przeprosiny.

Bo dziecko uczy się przeproszać nie wtedy, gdy dorosły każe mu powiedzieć „przepraszam”, ale wtedy, gdy dorosły umie wrócić po własnym błędzie.

R

R jak rodzic.

Nie kolega.

Nie właściciel.

Nie sędzia.

Nie człowiek bez prawa do błędu.

Nie ktoś doskonały.

Rodzic jako dorosły, przy którym dziecko może być dzieckiem.

Igor napisał:

Nie potrzebuję, żebyś był moim kumplem. Potrzebuję dorosłego, przy którym mogę być dzieckiem.

Pani Ewa dopisała:

R jak rola.

Bo czasem dziecko dostaje rolę, której nikt nie nazywa.

Most.

Mediator.

Pamięć domu.

Powiernik.

Strażnik nieobecności.

Sens poświęcenia.

Pracownik kary.

Sąd nad ojcem.

A potem dorasta i myśli, że to jego charakter.

S

S jak szacunek.

Dorośli często żądali go dopiero wtedy, gdy dziecko mówiło zbyt ostrym głosem.

— Trochę szacunku.

— Tak się do matki nie mówi.

— Nie pyskuj.

— Nie dyskutuj.

A dziecko oddawało czasem język, którego samo się nauczyło.

Piotr napisał:

Mój bunt czasem jest twoim brakiem szacunku, który wrócił moim głosem.

Pani Ewa dopisała:

Szacunek do dziecka nie polega na tym, że traktujemy je jak dorosłego. Polega na tym, że widzimy je naprawdę tam, gdzie jest.

A potem:

S jak słuchanie.

Bo słuchanie jest jednym z najrzadszych alfabetów.

Ś

Ś jak światło.

Światło nocnej lampki.

Światło telefonu.

Światło ekranu.

Światło w kuchni, które paliło się, gdy ktoś czekał.

Światło w oczach dorosłego, gdy naprawdę zobaczył dziecko.

Nela napisała:

Nie każde światło jest obecnością.

Pani Ewa dopisała:

Ś jak ślad.

Bo każde zdanie zostawia ślad.

Każde „nie przesadzaj”.

Każde „widzę, że się boisz”.

Każde „nie teraz”.

Każde „chodź, usiądę obok”.

Dziecko chodzi po tych śladach tak długo, aż zaczyna myśleć, że to jego własna droga.

T

T jak tata.

Tata, który był kierunkiem.

Tata, którego nie było.

Tata sobotni.

Tata pijący.

Tata w pracy.

Tata w telefonie.

Tata mówiący źle o mamie.

Tata, który pierwszy raz powiedział:

— To moje dorosłe. Nie twoje.

Mira napisała:

Nie jestem sądem nad moim ojcem. Jestem jego dzieckiem.

Igor dopisał:

Nie dawaj mi swojej samotności w prezencie za moją bliskość.

Pani Ewa napisała:

Tata nie musi być idealny, żeby być ważny. Ale dorosły musi pilnować, żeby jego trud nie stał się ciężarem dziecka.

U

U jak usprawiedliwienie.

Dorośli mieli swoje powody.

Praca.

Pieniądze.

Zmęczenie.

Samotność.

Zranienie.

Rozstanie.

Choroba.

Brak wsparcia.

Własne dzieciństwo.

Wszystko to mogło być prawdziwe.

Ale dziecko żyło skutkiem.

Pani Ewa zapisała:

Dorosły może mieć powód. Dziecko ma skutek.

Potem dopisała:

Usprawiedliwienie nie może zamykać dziecku ust w miejscu, w którym mówi: bolało.

A jeszcze niżej:

U jak uznanie.

Bo czasem najważniejsze zdanie dorosłego brzmi:

— Tak. To cię mogło zranić.

W

W jak wstyd.

Wstyd przy stole.

Wstyd za pytanie.

Wstyd za ciało.

Wstyd za łzy.

Wstyd za pragnienie.

Wstyd za ojca.

Wstyd za matkę.

Wstyd za biedę.

Wstyd za okulary.

Wstyd za to, że dziecko jeszcze nie umie.

Wstyd za to, że już rośnie.

Wstyd jest takim alfabetem, który dziecko szybko bierze za własny.

Maja napisała:

Kiedy mnie zawstydzasz przy innych, nie uczę się dobra. Uczę się chować siebie.

Pani Ewa dopisała:

W jak wolno.

Wolno ci czuć.

Wolno ci pytać.

Wolno ci nie wiedzieć.

Wolno ci rosnąć.

Wolno ci mieć własne zdanie.

Wolno ci nie być gotowym.

Wolno ci być dzieckiem.

Y

Dzieci czekały na tę literę.

— Y nie zaczyna prawie żadnego słowa — powiedział Bartek.

Pani Ewa skinęła głową.

— Dlatego będzie o tym, co w dziecku nie miało własnego początku.

Napisała:

Y jak głos, który pojawia się w środku krzyku.

— Czasem dziecko nie zaczyna od „ja” — powiedziała. — Zaczyna od dźwięku. Od „yyy...”, kiedy nie wie, czy wolno mówić. Od zawahania. Od utknięcia. Od miejsca między cudzym zdaniem a własnym.

Dopisała:

Y to litera dziecka, które jeszcze nie wie, jak zacząć własne zdanie.

W klasie zrobiło się bardzo cicho.

Bo wiele dzieci znało to „yyy”.

Przed prośbą.

Przed odmową.

Przed powiedzeniem:

— Nie chcę.

— Boję się.

— To mnie boli.

— Nie mów tak do mnie.

Z

Z jak złość.

Złość dziecka, którą dorośli często widzieli dopiero wtedy, gdy była za duża.

Nie widzieli małych próśb.

Małych granic.

Małych cofnięć ręki.

Małych milczeń.

Małych „nie”.

A potem mówili:

— Skąd ta agresja?

— Co w ciebie wstąpiło?

— Taki bunt.

Złość bywała ostatnim językiem dziecka, któremu wcześniej zabrano prostsze zdania.

Pani Ewa zapisała:

Złość nie zawsze zaczyna się tam, gdzie wybucha.

Potem dopisała:

Z jak zgoda.

Ale nie zgoda wymuszona.

Nie „pogódźcie się”.

Nie „przeproś i koniec”.

Zgoda prawdziwa przychodzi dopiero wtedy, gdy ktoś usłyszał, co zostało zranione.

Ż

Ż jak źródło.

Pani Ewa napisała tę literę wolniej.

— Źródło jest przed rzeką — powiedziała. — Często widzimy dorosłego człowieka jak dużą rzekę: jego reakcje, lęki, wybuchy, milczenie, kontrolę, nieufność, chłód, nadmierną opiekę. Ale każda rzeka miała gdzieś źródło.

Na tablicy pojawiło się:

Zanim zapytasz, co z nim jest nie tak, zapytaj, do jakiego świata musiał się tak dopasować.

Dzieci przepisywały długo.

Pani dodała:

— To nie znaczy, że dorosły może wszystko usprawiedliwiać dzieciństwem. To znaczy, że jeśli nie znajdzie źródła, może całe życie powtarzać cudzy alfabet jak własny głos.

Ż

Ż jak życie.

Ostatnia litera.

Największa.

Nie dlatego, że była na końcu.

Dlatego, że wszystkie poprzednie litery w końcu miały napisać właśnie je.

Życie.

Dziecko uczyło się życia z tego, jak dorośli mówili do siebie.

Jak mówili do niego.

Jak milczeli.

Jak wracali.

Jak odchodzili.

Jak karali.

Jak przepraszaali.

Jak patrzyli na ciało.

Jak dotykali.

Jak odmawiali.

Jak pozwalali chcieć.

Jak mówili o pieniądzach.

Jak nieśli własny ból.

Jak robili z dziecka albo dziecko.

Na tablicy pani Ewa napisała ostatnie zdanie:

Uważaj, jakich liter mnie uczysz, bo kiedyś mogę nimi napisać całe dorosłe życie.

Nikt nie mówił przez chwilę.

Potem Nina zapytała:

— A czy można przepisać alfabet?

Pani Ewa odłożyła kredę.

— Można.

— Cały?

— Może nie cały od razu. Czasem jedną literę. Potem drugą. Czasem człowiek przez lata odkrywa, że mówi cudzym tonem. Że kocha cudzym lękiem. Że przeprasza albo nie przeprasza tak, jak nauczył się w domu. Że milczy tak, jak milczeli dorośli. Że krzyczy tak, jak krzyczano przy nim. I wtedy może zacząć dopisywać własne litery.

— A dziecko? — zapytał Kacper.

— Dziecko potrzebuje dorosłych, którzy nie każą mu czekać do dorosłości z poprawianiem alfabetu.

Tego dnia dzieci dostały zadanie.

Nie do oceny.

Nie na stopień.

Miały napisać po jednej literze, której nauczyły się w domu, i po jednej, której chciałyby się nauczyć inaczej.

Na kartkach pojawiały się zdania.

A — alarm. Chciałabym: A — akceptacja.

C — cisza. Chciałabym: C — czułość, która pyta.

D — drzwi bez pukania. Chciałabym: D — drzwi, przy których ktoś mówi „można?”.

K — kara. Chciałabym: K — konsekwencja.

L — lojalność. Chciałabym: L — lekkość.

M — mama, która musiała. Chciałabym: M — mama, która widzi, że mnie bolało.

O — obowiązek jako dług. Chciałabym: O — obowiązek jako udział.

S — szacunek żądany. Chciałabym: S — szacunek dawany.

W — wstyd. Chciałabym: W — wolno.

Z — złość. Chciałabym: Z — zdanie, zanim wybuchnę.

Pani Ewa zbierała kartki powoli.

Jakby nie zbierała prac.

Tylko małe elementarze domów.

Na końcu lekcji powiedziała:

— Kiedyś możecie spotkać dorosłego, który mówi: „ja po prostu taki jestem”. Czasem to będzie prawda tylko do połowy. Druga połowa może brzmieć: „takim alfabetem nauczono mnie czytać siebie”. Człowiek nie jest winny temu, że jako dziecko dostał taki alfabet. Ale jako dorosły może zacząć sprawdzać, czy nie rani nim dalej.

Napisała jeszcze jedno zdanie, mniejsze, w rogu tablicy:

Dorosły człowiek często nie mówi własnym głosem. Mówi alfabetem domu, z którego wyszedł.

Po lekcji dzieci wychodziły wolniej niż zwykle.

Jakby każda litera przyczepiła się do rękawa.

Kacper został na chwilę przy tablicy.

Patrzył na M.

Na N.

Na U.

Mama.

Nieobecność.

Usprawiedliwienie.

Potem na J.

Jestem.

Wyjął telefon.

Napisał do mamy:

Dziś mieliśmy alfabet domu. M jak mama. N jak nieobecność. Ale też J jak jestem.

Mama odpisała po kilku minutach:

Jestem. Wrócę o 17.20.

Kacper patrzył na wiadomość.

Nie była idealna.

Ale była konkretna.

Mira schowała do plecaka literę O.

Ojciec.

Obraz ojca.

Oczy własne.

Nie chciała już znać ojca tylko przez ranę mamy.

Piotr zapisał literę I.

Imię.

W domu zamierzał powiedzieć:

— Dzisiaj litera I była o mnie.

Igor zabrał literę R.

Rodzic.

Nie kumpel.

Dorosły.

Ktoś, kto może być blisko, ale nie wkłada dziecku do plecaka swojej samotności.

Bruno zabrał K.

Książka.

Kara.

Konsekwencja.

Chciał wieczorem przeczytać jeden rozdział o mieście mrówek.

Nie za karę.

Dla światła z żywicy.

A pani Ewa została w klasie sama.

Na tablicy wciąż był alfabet.

A Ą B C Ć D E Ę F G H I J K Ł L M N Ń O Ó P R S Ś T U W Y Z Ż Ź

Nie wyglądał już jak zwykły alfabet.

Wyglądał jak mapa domu.

Jak mapa dziecięcych przejść.

Jak zapis tego, że człowiek zaczyna mówić, zanim umie czytać.

I że zanim powie „ja”, długo słyszy:

chodź,

czekaj,

nie płacz,

uważaj,

nie przesadzaj,

jestem,

zaraz,

przepraszam,

nie teraz,

widzę cię,

nie wolno,

spróbuj,

daj, ja zrobię,

możesz,

musisz,

nie bój się,

boję się z tobą,

nie jesteś winny,

jesteś taki sam jak on,

jesteś mój,

jesteś sobą.

Dziecko nie wybiera pierwszego alfabetu.

Dostaje go.

W mleku.

W głosie.

W braku.

W ramionach.

W kuchni.

W przedpokoju.

W samochodzie.

W sklepie.

Przy łóżku.

Przy stole.

Przy telefonie.

Przy zamkniętych drzwiach.

Przy otwartym oknie.

W tym, czy ktoś zostaje.

I potem idzie z tym alfabetem w dorosłe życie.

Pisze nim miłość.

Pisze nim złość.

Pisze nim pracę.

Pisze nim odpoczynek.

Pisze nim własne dzieci.

Pisze nim swoje ciało.

Pisze nim pieniądze.

Pisze nim bliskość.

Pisze nim samotność.

Czasem całe życie pisze literami, które kiedyś bolały, bo nikt mu nie powiedział, że można inaczej.

Dlatego pani Ewa na końcu dnia przepisała zdanie z tablicy na osobną kartkę i przypięła je nad biurkiem:

**Nie mam jeszcze własnego języka. Uczę się siebie z tego, jak ty mówisz do mnie, o mnie i przy mnie.
Uważaj, jakich liter mnie uczysz, bo kiedyś mogę nimi napisać całe dorosłe życie.**

A pod spodem dopisała już nie dla klasy.

Dla dorosłych.

Dla siebie.

Dla każdego, kto kiedykolwiek mówił do dziecka za szybko, za ostro, za cicho, za raniąco, za własnym bólem, za własną przeszłością:

Jeśli dziecko mówi dziś twoim alfabetem, nie karz go za język, którego sam je nauczyłeś. Usiądź obok i pomóż mu znaleźć nowe litery.

Tego popołudnia każde dziecko włożyło swoją kartkę do piórnika.

Na następne „nie przesadzaj”.

Na następne „bo ja tak mówię”.

Na następne „dla mnie zawsze będziesz mały”.

Na następne „nie mamy pieniędzy”.

Na następne „powiedz mamie”.

Na następne „przestań płakać”.

Na następne „ty mnie rozumiesz”.

Na następne „musisz być dzielny”.

Na następne „zaraz”.

Na następne „nie pyskuj”.

Na następne „przecież nic się nie stało”.

I na ten bardzo cichy moment, gdy w środku dziecka pojawi się jeszcze nie zdanie, tylko małe „yyy...”.

Początek własnego języka.

Niepewny.

Drżący.

Ale już nie całkiem cudzy.